

Colette Szczepaniak  
ORCID: 0000-0002-0496-4144  
Uniwersytet Szczeciński

<https://doi.org/10.26881/ae.2021.18.05>

## Autoetnografia trudów macierzyństwa

### Dlaczego autoetnografia?

W literaturze naukowej wśród rodzajów trudnego macierzyństwa wymienia się macierzyństwo kobiety dziecka niepełnosprawnego, kobiety żyjącej w ubóstwie, kobiety z rodziny patologicznej, kobiety samotnej, kobiety chorej i niepełnosprawnej czy kobiety niepełnoletniej (Maciarz 2004). Psychologowie doszukują się wyjaśnień w odczuwaniu trudów macierzyństwa z perspektywy problemów z zajściem w ciążę, samego czasu ciąży, wcześniejszej straty dziecka, czy tak samo jak w przypadku pedagogów – w niepełnosprawności potomka (Celińska-Miszczuk, Wiśniewska 2017). Analizując literaturę naukową z tematyki macierzyństwa, można dostrzec, że „standardowe” macierzyństwo (kobieta i dziecko/dzieci są zdrowe, kobieta świadomie decyduje się na ciążę ze swoim mężem/długoletnim partnerem i ma stabilną sytuację finansową), które również jest pełne trudów, zdaje się niewarte rozważań naukowych, a jeśli zyskuje zainteresowanie badaczy, to nie wypada nazywać go trudnym. Chcąc zwrócić uwagę na ten problem, nazwałam swój artykuł autoetnografią trudów macierzyństwa, a nie jego badaniem. Trudy i cienie bycia matką spotykają kobietę w każdej sytuacji życiowej, a macierzyństwo może być analizowane z perspektywy indywidualnego doświadczenia kobiety, uwzględniając społeczno-kulturowy wzór, czego dowodem jest niniejsza praca. W tym artykule pragnę zbadać zjawisko współczesnego macierzyństwa przez pryzmat swoich osobistych (trudnych) przeżyć. Zdecydowałam się na tę konkretną metodę badawczą, ponieważ macierzyństwo z badawczego punktu widzenia zdaje się wymykać jakimkolwiek ustaleniom, kierując się ku indywidualnemu i subiektywnemu doświadczeniu życiowemu kobiety (Pryszmont 2020).

Żeby dobrze ukazać kontekst społeczno-kulturowy, w tekście będą pojawiać się pojedyncze wypowiedzi zapisane kursywą. Są to zdania powtarzane w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie, utrwalane w szkole, w sklepie czy na placach zabaw

przez obce mi osoby. Są to również fragmenty przekazów medialnych i kulturowych wywołujących w młodych matkach uczucie frustracji, konieczności wypełniania pewnych norm i ulegania presji. Można powiedzieć, że wszystko to będzie składało się na obraz ramy (zob. Goffman 2010) „młodej matki” funkcjonującej w naszym społeczeństwie.

Autoetnografia jest metodą, która umożliwia badaczowi wpisanie własnego doświadczenia, własnych przeżyć w geopolityczny kontekst. Badacz jest jedyną osobą, która może dokonać tej analizy, ponieważ tylko on/ona może zrozumieć, w jakim społeczno-politycznym kontekście „dzieje się” jego doświadczenie. Dzięki temu autoetnografia jest jedyną metodą, która pozwala na uchwycenie unikatowego, niepowtarzalnego momentu nie tylko w historii osobistej naukowca, ale również z perspektywy miejsca i czasu, w którym się wydarza. A miejsce i czas stanowią już przestrzeń wspólną dla wielu innych osób, żyjących w tej samej kulturze i tym samym społeczeństwie. Autoetnografowie patrzą tam i z powrotem: najpierw przez szerokokątne soczewki etnograficzne, sięgają do społecznych i kulturowych znaczeń własnych doświadczeń, a następnie spoglądają do wewnątrz, odsłaniając wrażliwe ja (Ellis 2004 za: Kafar, Kacperczyk 2020).

Autoetnografia jest znaną metodą badań nad macierzyństwem w innych krajach (zob. Faulkner 2012, 2014; Pineau 2000, 2013; Ferdinand 2022). Badane macierzyństwo zawsze jest wpisane w kontekst społeczno-kulturowy autorki autoetnografii. Może dotyczyć białej kobiety z klasy średniej (Haugh 2016), a także przedstawiać perspektywę afroamerykanki żyjącej w Stanach (Ferdinand 2022). Również inne kwestie wpisujące się w obszar badań nad rodziną są prowadzone metodą autoetnografii, na przykład relacja mężczyzny z jego rodziną z perspektywy jego homoseksualizmu, relacje rodzic–dziecko stworzone przez badaczy z różnych dziedzin czy też reakcje społeczne na bycie dzieckiem alkoholika oraz samo funkcjonowanie autora jako DDA (Adams, Manning 2015).

Autoetnografia daje piszącemu tekst również możliwość dostrzeżenia i podjęcia próby poznania innego obok nas. Taka zmiana, polegająca na głębszym zrozumieniu i lepszej orientacji w otaczającej rzeczywistości społeczno-politycznej, może dokonać się również w odbiorcy, który ma otwarte nastawienie do indywidualnego doświadczenia drugiego człowieka.

### Macierzyństwo w teorii krytycznej

Adrienne Rich (1986: 13) wskazała na dwa nakładające się na siebie znaczenia macierzyństwa jako z jednej strony potencjalnej relacji kobiety do jej sił reprodukcyjnych i dziecka, a z drugiej instytucji, której celem jest wykorzystanie tej relacji do bycia poddaną kontroli przez mężczyzn. Amerykańska autorka podkreślała więc przeplatanie się tych dwóch światów w indywidualnym doświadczeniu kobiety. Również Simone de Beauvoir pisała o tym, że kobieta-matka „pod względem

socjalnym czuje się niższa od mężczyzny. Nie ma ona władzy nad światem ani nad przyszłością, toteż za pomocą dziecka chce wynagrodzić sobie wszystkie te braki” (de Beauvoir 2020: 599). Obie autorki podkreślały więc, że bycie matką stawia kobietę w sytuacji podporządkowanej względem mężczyzn, ponieważ pozbawia ją to pewnych przywilejów, których nie traci mężczyzna, zostając ojcem.

Rich wskazuje ponadto, że to macierzyństwo jako instytucja jest centrum różnych systemów społecznych i politycznych, która spowodowała wstrzymywanie się ponad połowy ludzkości z podejmowaniem pewnych decyzji wpływających na ich życie. Oprócz tego macierzyństwo-instytucja spowodowała niebezpieczny rozłam pomiędzy „prywatnym” i „publicznym” życiem. Sprawiała, że ludzkie wybory i możliwości, a także potencjał skamieniały. Rich używa nawet wyrażenia, że macierzyństwo jako instytucja spowodowało zamknięcie w gettach kobiecego potencjału (Rich 1986: 13).

Kiedy autorka analizowała swój dziennik, zauważyła, że pełniąc biologiczne funkcje matki, dała się złapać na stereotyp rodzicielki, której miłość jest bezwarunkowa. Wynika to według niej z różnych innych społeczno-kulturowych założeń, jak na przykład tego, że matka nie ma żadnej innej tożsamości. Zgodnie ze stereotypem wskazanym przez Rich jest to kobieta, która czerpie przyjemność z przebywania ze swoimi dziećmi cały dzień i żyje w tempie dostosowanym do ich potrzeb. Izolacja, której doświadcza w takiej sytuacji, musi być czymś traktowanym jako niezmiennosc i oczywistość (Rich 1986: 23).

W teorii krytycznej Rich zawarta jest również teza, że XIX- i XX-wieczny ideał matki skupia się wokół uwięzienia jej razem z dziećmi w domu. Świat mężczyzny natomiast jest odseparowany od domowej rzeczywistości kobiety, ponieważ koncentruje się na zarabianiu pieniędzy, konkutowaniu z innymi mężczyznami, ambicji i władzy (Rich 1986: 86).

### Co miało być wstępem

Chcąc opisać moje trudne doświadczenia w macierzyństwie, chciałam najpierw napisać: „kocham moje dzieci, a moja miłość do nich jest bezgraniczna i bezwarunkowa”. Zorientowałam się jednak, że w ten sposób wpadłam w sidła (pop)kulturowego, stereotypowego wizerunku matki, troszczącej się o wypełnianie takiego modelu, jakiego się ode mnie oczekuje, że w rezultacie zrealizuję ten cukierkowy i pudrowy wzór matki znanej nam z mediów. Matki, która ciągle ma świadomość bycia poddanej obserwacji i ocenie innych – tych, którzy wiedzą lepiej. Gdybym jednak nie napisała tego, że tak właśnie chciałam rozpocząć swój wywód, to ani jako badaczka, ani jako osoba badana nie przeprowadziłabym rzetelnych badań. Chcąc rzeczywiście przeanalizować swoje doświadczenia jako wciąż świeżej mamy, muszę więc odżegnać się od tego, co czuję do moich dzieci. Bardziej zależy mi na opisie swoich przeżyć jako osoby starającej się odnaleźć się w sytuacji, w której się znalazła i w której bywa jej trudno.

## Co rzeczywiście jest wstępem

Chciałabym, żeby więcej kobiet w Polsce opisywało swoje doświadczenia, bo tylko takie świadectwo ukaże nam prawdę o współczesnym macierzyństwie. Buntuję się przeciwko lukrowanemu wizerunkowi macierzyństwa i zмовie milczenia tych „matek-ideałów”, które na placach zabaw, miejskich bawialniach, w sklepach, galeriach i w budynkach uczelni prześcigają się w potokach słów wypowiedzianych na temat jak to „trzeba”, jak „należy”, jak „się nie powinno”. Tekst ten jest próbą przeciwstawienia się stereotypom, które opisała Bogusława Budrowska (2000), a które wciąż w naszym społeczeństwie są żywe. Przedstawiając wyniki swoich badań nad macierzyństwem, autorka wskazała główny punkt w zbiorze stereotypów macierzyństwa, czyli obiegowych przekonań o funkcjonowaniu kobiety w roli matki – dziecko jako sprawa najważniejsza. Kolejnymi stereotypami, będącymi tylko dopełnieniem tego głównego, jest to, że macierzyństwo jest powołaniem każdej kobiety, że wszystkie mają wrodzony instynkt macierzyński, oraz przekonanie, że bycie matką wyzwala tylko pozytywne emocje, że to matka ponosi całkowitą odpowiedzialność za rozwój dziecka, jego zdrowie fizyczne i psychiczne, wygląd, zachowanie. Kolejny stereotyp dotyczy nierozłączności – zgodnie z nim matka, owszem, może powierzyć komuś opiekę nad dzieckiem, ale pod warunkiem, że w tym czasie pracuje zawodowo. Jednak nawet wtedy powinna mieć poczucie winy, że opuściła potomka. Naturalne jest za to poświęcanie się dziecku – całej swojej energii, czasu i aspiracji i nieposiadanie własnych celów, marzeń, aspiracji (matka-męczennica). Ostatnim z wymienionych przez Budrowską stereotypów jest aseksualność matek, to znaczy zaprzeczenie faktu, że są one istotami seksualnymi (Budrowska 2000: 213–214).

Myślę, że wszystkie te stereotypy towarzyszyły mi już od dzieciństwa, przez okres dojrzewania i wczesnej dorosłości, po czas obecny, kiedy to sama stałam się mamą. Byłam z nimi związana od zawsze, jakbym się z nimi urodziła, jakby były mi wpisane w głowę, dopóki nie skonfrontowałam ich z prawdziwym życiem, czyli swoim macierzyństwem.

Sprzeciwiam się nie tylko stereotypom obecnym w kulturze; buntuję się również przeciwko przekazom medialnym (w telewizji, w mediach społecznościowych, w prasie), w których widać zawsze uśmiechniętego, spokojnego bobasa, którego piękna, szczupła, atrakcyjna i równie uśmiechnięta mama nosi na rękach. To tak jak z wizerunkiem kobiecego ciała obecnym w kulturze popularnej: jest zawsze szczupłe, młode, gładkie, nie ma na nim cellulitu, rozstępów, popękanych naczynek, zmarszczek czy chociażby pieprzyka – jest wyretuszowane. W rzeczywistości nasze ciała, nawet jeśli szczupłe, choć często w naszych umysłach niewystarczająco, noszą na sobie jakieś znaki upływającego czasu. Tak samo jest z macierzyństwem. Nie jest pozbawione skaz i błędów. Media je retuszują, pudrują, cukrują, ukrywając prawdę.

Obraz wyidealizowanego macierzyństwa nie tylko źle wpływa na zdrowie psychiczne kobiet, które starają się być tymi „bezbłędnymi matkami” – obniżając poczucie własnej skuteczności i zwiększając poziom odczuwanego stresu, jednocześnie wytwarzając poczucie winy i podwyższając poziom lęku, ale nawet na te, które nie dążą do wypełnienia owego przekazu, tzn. dla których nie jest on (na poziomie świadomym) czymś ważnym (Celińska-Miszczuk, Wiśniewska 2017: 187–188).

Z kulturą popularną jest jak z sąsiadką, która przyszła oddać pożyczoną wcześniej szklankę cukru, a stoi w naszym przedpokoju i od 15 minut opowiada o tym, że dziecku trzeba ubierać czapeczkę, karmić mlekiem z piersi, smarować pośladki, kąpać raz dziennie czy raz w tygodniu, dawać smoczek czy nie dawać. A my stoimy i milcząco przytakujemy, bo myślimy już tylko o tym, żeby wrócić do przerwanej niezapowiedzianą wizytą zajęcia, i zastanawiamy się, jak grzecznie ją przegonić. Na potwierdzenie powyższego cytuję słowa Lidii Wiśniewskiej i Agaty Celińskiej-Miszczuk dotyczące psychologicznych aspektów macierzyństwa w XXI wieku: „Matki nigdy nie pełnią swojej roli w oderwaniu od warunków społecznych, kulturowych, ekonomicznych – nigdy bowiem nie funkcjonują «w próżni». Ich doświadczenia są naznaczone i kształtowane nie tylko przez przekazy rodzinne, ale także oczekiwania społeczne i wymagania kulturowe” (Celińska-Miszczuk, Wiśniewska 2017: 187).

### Przeżyć dzień, przeżyć noc

Kiedy zostałam sama na 42 długie dni i 42 za krótkie noce z 3-miesięcznym synem i 1,5-roczną córką, moim celem było przetrwanie. Przeżyć dzień – zrobione, teraz noc – zrobione. Kolejny dzień, kolejna noc. Przetrwaj. Córka teoretycznie była zapisana do żłobka, w którym w rzeczywistości była łącznie osiem dni w trakcie pierwszego wyjazdu męża do pracy, bo dzieci cały czas chorowały. Dałam ogłoszenie, że potrzebuję pomocy, i na szczęście zgłosiła się do mnie N. Sama ma trójkę dzieci, jednak na ile to było możliwe, przychodziła mi pomagać. Zajmowała się dziećmi i robiła wszystko to, co ja, gdy byłam sama – nosiła, bujała, zmieniała pieluchy, przebierała, a ja w tym czasie gotowałam obiad, wstawiałam pranie, odkurzałam, szłam po zakupy do osiedlowego sklepiku, albo – co było już ogromnym przejawem wolności – brałam psa na spacer. Być może czytelnik jest teraz skonsternowany, co ja mogę wiedzieć o trudach macierzyństwa, skoro oprócz żłobka miałam jeszcze osobę do pomocy. Postaram się to wyjaśnić na kolejnych stronach niniejszej pracy. N. przede wszystkim nie przychodziła codziennie, a dwa–trzy razy w tygodniu na cztery godziny. Dla mnie był to czas na zorganizowanie jedzenia, czystych ubrań, czystej podłogi do zabaw, zapłacenie rachunków, załatwienie ubezpieczenia, zamówienie karmy dla psa, wystawienie odpowiednich śmieci przed dom, tankowanie samochodu czy serwis pieca. Wszystkie obowiązki, które jak sądzę są podzielone na (minimum) dwie osoby w rodzinie, czasami muszę brać na siebie przez okres od sześciu tygodni do

czterech miesięcy. Dodatkowo mam jeszcze dwójkę małych dzieci, które potrzebują mnie najbardziej spośród wszystkich wymienionych spraw, a jednak powyższych również nie mogę zaniedbać.

## Dzień

Słyszę płacz z drugiego pokoju. Próbuję otworzyć sklezione powieki. Patrzę na zegarek. 5.22. To córka. Idę po nią do pokoju, kładę się z nią jeszcze w swoim łóżku, ale ona już skacze, coś mówi po swojemu, chodzi po mnie, schodzi z łóżka tylko po to, żeby znowu na nie wejść. „Nie, to niemożliwe, że ona już chce wstawać. Przecież ja znowu nie spałam dzisiejszej nocy, muszę spać” – myślę. Córka jednak ciągnie mnie za rękę. Syn szczęśliwie się nie budzi. Biorę ją do łazienki, ściągam pieluchę po nocy... zaczynamy nowy dzień.

Zakładam córce pieluchę, wyciągam z szuflady wcześniej wyprane i wyprasowane przeze mnie dziecięce ubrania w rozmiarze 68 i 86. Przebieram ją z piżamy w koszulkę, spodnie i skarpetki. Idziemy do kuchni, a pies przychodzi się z nami przywitać. Córka głaszcze swojego dwukrotnie większego przyjaciela, przytula się do niego, uśmiecha i mówi „dadi”. Wypuszczamy go do ogrodu. Za oknem jest jeszcze ciemno, bo to koniec stycznia. Włączam czajnik, ekspres do kawy i radio. Robię córce śniadanie, a ona w tym czasie cały czas trzyma się mojej nogi i płacze, krzycząc „da, da, da”. Znowu to samo. Kiedy ona przestanie płakać w trakcie przygotowywania dla niej posiłku? „No już, już, zaraz ci dam” – mówię. Daję jej dużą plastikową miskę i drewnianą łyżkę, żeby choć przez chwilę się czymś zajęła. Głowa mi pulsuje; przez przypadek widzę swoje odbicie w oknie – oczy mam spuchnięte, podkrążone. Nie zatrzymuję wzroku na swojej twarzy, bo córka zaraz znowu zacznie krzyczeć – muszę się spieszyć z mieszaniem kaszki w mleku. Siedzam ją w foteliku do karmienia, zakładam śliniak, podaję łyżkę i miseczkę z kaszką. Zabieram się za zrobienie sobie śniadania: 2 kanapki z szynką. Gdy jest już gotowe, budzi się syn, a córka jest cała ubrudzona kaszką. Idę po małego, w drodze do kuchni przykładam go już do piersi. Siadam naprzeciwko córki i patrzę, jak oboje jedzą: na jednym przedramieniu leży syn, którego karmię, a drugą ręką pomagam małej. Gdy syn kończy ssać, kładę go na ramieniu i czekam, aż mu się odbije. Córka kończy kaszkę. Muszę się spieszyć, bo zaraz zacznie kombinować, jak wyjść z fotelika. Wstaję więc i noszę syna to w jedną, to w drugą stronę kuchni, aż w końcu mu się odbija. Kładę go na macie na podłodze w kuchni, żeby powycierać córcię i posprzątać jej fotelik. Mały leży spokojnie, wycieram chusteczkami nawilżanymi ręce i buzię małej, wyciągam ją z krzeselka i stawiam na ziemi. Córka klęka przy bracie, głaszcze go po główce i czule całuje w czoło<sup>1</sup>. Kiedy fotelik jest gotowy, a miska umyta, biorę gryz kanapki. Córka staje okrakiem i w charakterystycznym skupieniu załatwia

<sup>1</sup> Rich (1986) uważała, że dobre i złe momenty w macierzyństwie są ze sobą nierozłączne.

jedną ze swoich potrzeb fizjologicznych – zawsze zaraz po jedzeniu. Biegnie już do wanny, a ja biorę syna na ręce i idę za nią. W ustach czuję suchość, strasznie chce mi się pić, a w brzuchu burczy. Wkładam synka w leżaczek-bujaczek (*leżaczki-bujaczki są niezdrowe dla kręgosłupa dziecka*), bo jak nas nie widzi i nie słyszy, to się denerwuje (*tak go przyzwyczaiłaś*). Wkładam małą do wanny, niestety kupa przeciekła i znowu musimy się przebierać. Czekam, aż zacznie lecieć ciepła woda, rozbieram ją, myję dokładnie, owijam w ręcznik. Brudne ubrania zostawiam w wannie. Z szuflady wyciągam nowe, a z szafki pieluchę (*za naszych czasów to nie było takich pieluch!*). Zakładam pieluchę, ubieram w czyste ubrania. Córka ucieka mi kilka razy, nie chce dać się ubrać, bawi ją to, że ucieka mi, a ja ją gonię. W końcu udaje mi się ją ubrać. Synek wciąż jest w nocnej pielusze, więc przebieram również jego. Nie udało mi się zjeść śniadania, to może chociaż się umyję. Córka jest w wieku ogromnej ciekawości i wszystko ją interesuje – najbardziej ściąganie kosmetyków z półek, wkładanie palców w kontakty, wchodzenie na meble, toaletę. Jest żywym dzieckiem (*tak ją nauczyłaś!*), musiałam więc w trakcie mojego prysznic sadzać ją w krzeselko do karmienia i kłaść na blat zabawki, które ona w ciągu pierwszej minuty zrzucała na podłogę. Mój prysznic trwał więc około trzech–pięciu minut, ale było to coś, bez czego nie mogłam kontynuować dnia. To była moja podstawa dbania o siebie. Dzieci towarzyszyły mi więc w trakcie codziennego prysznic, ale również w trakcie każdej wizyty w toalecie. Codziennie, przez 42 dni, nie byłam w toalecie sama. Spędzając czas w łazience, śpiewałam, opowiadałam wierszyki, rozmawiałam, ewentualnie krzyczałam „nie wolno!”, kiedy córka znów po coś sięgała.

Kiedy mała akurat jest zdrowa i idzie do żłobka, ubieram syna w śpiworek, jej zakładam buty, kurtkę, szalik i czapkę, wsadzam ich w foteliki samochodowe i zawozimy ją. Mały w tym czasie drzemie, więc w dni wolne od żłobka wymaga ode mnie warunków do drzemki w tym samym czasie. W związku z tym, kiedy córka nie szła do żłobka z powodu przeziębienia, wsadzałam ich w samochód o tej samej porze, czyli około 8.30, i jeździłam w kółko po okolicy. Często siedziałam w samochodzie w piżamie, jeśli nie udało mi się wcześniej przebrać, ale musiałam jeździć tyle czasu, żeby mały trochę pospał, a mała nie zasnęła. Po trzydziestominutowej przejażdżce był już czas drugiego śniadania córki, więc trzeba było wracać. Wchodziliśmy do domu, rozbierałam dzieciaki, mały najczęściej chciał już jeść, więc siadałam z nim na kanapie i karmiłam go piersią. Córkę w tym czasie roznosiła energia, jak zawsze. Skakała po kanapie albo próbowała coś zbroić. Kiedy mały był nakarmiony, szykowałam dla niej drugie śniadanie, wkładałam do fotelika, stawiałam przed nią miskę z jogurtem i pomagałam jej operować łyżką.

Po drugim śniadaniu przychodzi czas na spacer – jest 10 rano. Synka ubieram w kombinezon, wkładam do wózka, przykrywam kocykiem, wystawiam wózek do garażu. W tym czasie narzucam na siebie kurtkę i wkładam ciepłe buty, ubieram córcę buty, ciepłe spodnie, szalik, kurtkę i czapkę. Płacz syna cały czas dobiega z garażu. Uff, wychodzimy, jestem cała mokra. Gdzie mam czapkę i szalik? Nieważne, pewnie mała się w nie przebierała i leżą gdzieś w domu, już się nie wracam.

Mały płacze, więc wózek musi jechać dość dynamicznie. Córca jednak nie może iść w szybkim tempie, bo jej chód jest jeszcze chodem półtorarocznego dziecka. Mała więc drepta w swoim tempie, a ja stoję i ruszam wózkami to w jedną, to w drugą stronę. Daję synowi smoczek (*będzie miał wadę zgryzu*), w końcu się uspokaja. Zbliża się 11, musimy wracać do domu, bo córka o tej godzinie idzie na drzemkę. Stawiam wózek ze śpiącym synem na tarasie za oknem i wchodzę z córką do domu. Rozbieramy się, zmieniamy pieluchę (*na nocnik jeszcze nie sadzasz?*), idziemy do jej pokoju, zamykam rolety, śpiewam kołysanki. W duchu proszę, żeby synek się jeszcze nie obudził. Córka standardowo nie chce spać w dzień, płacze dwadzieścia minut, w końcu usypia. Wychodzę z pokoju, idę do kuchni ugotować makaron do rosółu. Biorę gryz kanapki ze śniadania, podgrzewam zupę i robię sobie kawę. Budzi się syn, otwieram okno i wciągam wózek do salonu (*a ja mieszkałam na trzecim piętrze bez windy i też codziennie chodziłam na spacer*). Rozbieram go, a on w tym czasie płacze i płacze. Przykładam go do piersi, je, a później mu się odbija. Makaron na pewno już się rozgotował. Budzi się córka. Odkładam małego na podłogę, wyciągam córcię z łóżeczka, przytulam i siedzę z nią piętnaście minut na kanapie, bo po przebudzeniu potrzebuje sporo czasu, żeby dojść do siebie. Chcę w końcu odlać makaron, ale gdy tylko odsuwam córkę od siebie, ona zaczyna strasznie płakać. Teraz ona płacze i płacze. Idę odlać makaron i przelać go zimną wodą. Syn w międzyczasie robi kupę, biorę go więc na ręce i niosę do łazienki. O, brudne ciuchy w wannie, zapomniałam ich wcześniej zamoczyć (*„T., ale z ciebie jest dobry gospodarz” – mówi do mojego męża pewien wujek, który przyjeżdża do nas w odwiedzin*). Córka idzie za nami do łazienki, ale wciąż płacze po obudzeniu się z drzemki. Burczy mi w brzuchu i chce mi się pić. Zmieniam synowi pieluchę i przenoszę jego leżaczek-bujaczek do kuchni. Córkę sadzam w foteliku, a syna w bujaczku. Jest 13. Nalewam sobie i małej zupy. Trochę muszę jej pomagać przy jedzeniu. Swoją talerz z zupą stawiam obok talerza z kanapkami ze śniadania. Syn zaczyna płakać. Biorę go więc na ręce i tulę, a drugą ręką karmię córkę (*a kiedyś to kobiety dziesięcioro dzieci rodziły, gotowały, w domu sprzątały i jeszcze w pole szły*). Kiedy ona kończy jeść, odkładam syna w bujaczek, wyciągam ją z fotelika i stawiam na podłodze. Zmywam szybko jej miseczkę po zupie i szykuję się na kolejny spacer. Ponownie ubieram dzieci. Harmonogram jest taki sam, jak o poranku; znowu nie wiem, gdzie mam czapkę i szalik. Spacerujemy po przydomowych uliczkach, wolno, w tempie małej, która ciągnie za sobą na sznurku plastikową przyczepę. Kiedy zaczyna marudzić, sadzam ją w niej i jedną ręką pcham wózek z synem, a drugą ciągnę córkę na sznurku w zabawkowej przyczepie. Po godzinie–półtorej wracamy do domu, bo nadszedł czas drugiego dania; zresztą w styczniu około godziny 15.30 zaczyna się ściemniać, a ja marzną. Rozbieram dzieci, siebie. Synek płacze, jest głodny. Karmię go. Później przebieram córcę pieluchę. Stawiam ją na krześle przy kuchennym blacie i obieram z nią ziemniaki, przerywając tę czynność co najmniej trzy razy z różnych powodów. W czasie, gdy warzywa się gotują, kroję surówkę i podgrzewam mięso z poprzedniego dnia. Córka ciągle coś ściąga z suszarki do



naczyń, wierci się na krześle, boję się, że zaraz spadnie. O, kubek zimnej kawy z rana. Wstawiam go do mikrofali. Syn leżący na podłodze coś sobie mówi – może chce nas zobaczyć? Kładę go więc w leżaczku. Odlewam wodę z ziemniaków, nakładam na talerze swój i córki. Siedzam ją w foteliku, zakładam śliniak, daję łyżeczkę. Mały szuka piersi. Siadam przy swoim talerzu, jedną ręką karmię syna, drugą choć trochę staram się zjeść swój obiad. Patrę, jak córka je. Rozmawiamy sobie, opowiadam jej, co będziemy robić, jak tata wróci. Kiedy kończy jeść, denerwuje się, że już chce wyjść, a ja jeszcze nie skończyłam karmić syna. Krzyczy, złości się. „Poczekaj, zaraz cię wyciągnę” – mówię do niej. Mały w końcu kończy jeść, odkładam go bez odbijania na podłogę. Zaczyna płakać, bo nie został odpowiednio potraktowany po karmieniu, wyciągam córkę z fotelika. Ona po chwili już się gdzieś wspina, wchodzi na moje krzesło. Małego znowu biorę na ręce i noszę. Mam dosyć tego dnia, jestem zmęczona. Córka już weszła na stół. „H., nie wolno!” – mówię i ciągnę ją za rączkę, żeby nie spadła. Zostawiam bałagan w kuchni, sprzątnę go, gdy pójdą spać. Czas zmienić synkowi pieluchę. Zbliża się godzina 17, a więc pora, kiedy on codziennie przez dwie godziny płacze (*to na pewno kolka! Co zjadłaś? Groch? Kapustę?*). Po zmianie pieluchy wkładam synka w chustę, a więc noszę przez dwie godziny mocno przywiązanego do mojej klatki piersiowej, żeby było mu ciepło i bezpiecznie. Warunkiem tego, żeby nie płakał o tej godzinie, było oprócz tego ciągle chodzenie. Nie mogłam usiąść. Gdy siadałam, on od razu zaczynał płakać (*przyzwyczaiłaś do noszenia!*).

Czasami świadomość tej niezastąpialności, tego, że to ja jestem potrzebna do przytulenia, pocałowania uderzonego kolana, była dla mnie przytłaczająca. Świadomość, że to ja jestem jedyną osobą na świecie, której oni w tym momencie potrzebują, często obydwójce naraz, bywała męcząca<sup>2</sup>.

Kiedy noszę go w chuście, trzymam jednocześnie córkę za rączkę i albo spacerujemy po domu, albo tańczymy, albo bawimy się samochodem bądź pchaczem. O 17.30 daję jej owoc. Z synem na brzuchu ponownie podnoszę córkę do fotelika: znowu śliniak, talerzyk... Nie siadam, bo mały się obudzi. Gdy mała kończy jeść, włączam telewizor (*małe dzieci nie powinny patrzeć w ekrany*), żeby chociaż zobaczyć jakiegokolwiek wiadomości ze świata. Coś innego niż to, co dzieje się w naszych czterech ścianach. Nic jednak nie słyszę, bo córka stuka jakąś zabawką w okna, a mały zaczyna się wiercić w chuście. Synek budzi się na dobre i chce jeść. Wyciągam go z chusty, a on się przeciąga, rozciąga kręgosłup po dwóch godzinach spędzonych w pozycji embrionalnej. Na ramionach mam ślady od chusty, czuję ból barków i dołu pleców. Synek chce jeść, więc go karmię. Córka jest już śpiąca i marudna, rzuca czymś na ziemię, coś kopie. Gdy kończę karmić syna, idziemy na kolację. Córka w fotelik... Po kolacji przychodzi czas na kąpiel, która jest chyba najtrudniejszą

<sup>2</sup> Rich również pisała o tym, że obciążona pewną tradycją i jej wyobrażeniem tego, kim jest Matka, zaczęła budować ze swoimi dziećmi mikrokosmos. Ona i jej dzieci tworzyły rodzaj emocjonalnego kartelu, w którym zdarzało jej się spędzać całe dni bez spotkania z drugim dorosłym człowiekiem, nie licząc jej męża (Rich 1986: 24).

częścią dnia. Bywałam na tyle zdesperowana, że prosiłam kogokolwiek, kto nie kąpał w tym czasie swoich dzieci, żeby przyszedł na te czterdzieści minut wieczorem. Kiedy byłam sama, wyglądało to tak: musiałam kąpać dwoje dzieci po sobie, nie w jednej w wannie, nie jednocześnie, bo synek jako niemowlę nie siedział i nie utrzymywał samodzielnie żadnej pozycji. On musiał więc być przeze mnie trzymany w niemowlęcej wanience, która sięgała mi do pasa. Córka natomiast mogła kąpać się w dużej wannie, ale też nie była jeszcze na tyle samodzielna, żebym mogła spuścić ją z oczu choć na chwilę. Podczas kąpieli musiałam więc stuprocentowo skupić się wyłącznie na jednym dziecku. Był wieczór, więc wszyscy byliśmy już zmęczeni, ale jedynie dzieci miały prawo do tego, żeby okazywać to płaczem czy krzykiem, co chętnie robiły. Ja musiałam wykonać swoje zadanie: wykąpać dzieci i stworzyć warunki do spokojnego, wieczornego zasypiania (*wieczorne rytuały*). Kiedy za pierwszym razem kąpałam syna w niemowlęcej wanience, córka wyciągnęła wąż, którym woda po kąpieli spływała do prysznicza, więc podłoga w łazience została całkowicie zalana. Postanowiłam wtedy, że muszę ją sadzać w krzeselku i dać jej zabawki na czas kąpieli jej brata.

Córka nie lubi być ograniczana czymkolwiek i przez cokolwiek, nie usiedzi w jednej pozycji, w jednym miejscu przez dłużej niż trzydzieści sekund, więc całą kąpiel brata próbuje się wydostać z krzeselka, co powoduje u niej frustrację, nerwy i krzyk. Kąpię syna, muszę go pewnie i mocno trzymać, bo jego ciało nie jest w ogóle sztywne, a główki nie trzyma samodzielnie. Myję go, uśmiecham się do niego, masuję brzuszek, a kątem oka patrzę na wściekłość córki, która krzyczy coraz głośniejsze. Po kąpieli syna wycieram go, ubieram w piżamkę i śpiworek i wkładam do leżaczka-bujaczka, który stawiam przy wannie, żebym jedną nogą mogła go bujać. Nalewam wodę do wanny, rozbieram córkę i wkładam ją do kąpieli. Syn płacze, a właściwie nie płacze – drze się w niebogłoso (*trzeba reagować na każdy płacz dziecka, żeby wiedziało, że jego emocje są ważne*), bujanie nic nie daje. Wieczorami tak miał – nieważne, co się działo, on płakał przez całą kąpiel siostry. Ona za to płakała przez całą kąpiel brata. Mnie bolała głowa, chciało mi się jeść, pić i spać. Moje macierzyństwo wówczas było ciągłym brakiem: snu, jedzenia, wody, pomocy, sił. Mawiałam wtedy, że prawa człowieka są wobec mnie wciąż łamane: wolność – to oczywiste, ale nawet zakaz tortur: przebywanie w ciągłym hałasie, uczucie ciągłego głodu, fizycznego wyczerpania, brak snu, niemożliwość wyjścia w samotności do toalety<sup>3</sup>.

Mimo krzyku syna udaję przed córką, że wszystko jest dobrze i że atmosfera jest spokojna: uśmiecham się do niej, śpiewam, mówię (*to nie są warunki do usypiania!*). Po kąpieli wyciągam ją z wanny, wycieram, kremuję, ubieram w piżamkę, myję zęby (mały cały czas płacze). Biorę w końcu na ręce syna, który się uspokaja. Mała idzie na nóżkach do swojego łóżka ze szczebelkami. Wchodzi tam sama, a ja zamykam łóżko, żeby już nie mogła z niego uciec. Siadam na fotelu przy jej łóżeczku, karmię

<sup>3</sup> We wspomnieniach Rich (1986: 31) możliwość wyjścia do toalety w samotności jawi się jako moment spokoju w życiu matki małych dzieci.

małego i śpiewam kołysanki. Córka szaleje po całym łóżku, w końcu kładzie się, kopie jeszcze nogami i zasypia. Gdy kończę karmić, kładę syna na ramieniu i szybko wychodzę z jej pokoju, w razie gdyby się rozplakał. Nie chcę, żeby ją obudził. Mały po jedzeniu jest jeszcze rozbudzony, ale idę z nim do mojej sypialni, noszę i śpiewam, żeby śpiącego odłożyć do łóżeczka.

## Noc

20.30 – dzieci zasypiają. Włócę nogami do kuchni, która wygląda jakby przez cały dzień ktoś dokładał tam tylko brudne naczynia. Tak było, obraz kuchni był dokładnie taki, bo nikt tam nie sprzątał. Nie miał kto (*wszystko jest kwestią dobrej organizacji czasu*). Moim celem było nakarmienie dzieci, głównie córki, a jak już to się udało, to zwykle działo się coś, co uniemożliwiało mi posprzątanie: albo mały chciał jeść, albo mała chciała na nocnik, albo któreś z nich trzymało się mojej nogi, płacząc z niewiadomego powodu. Sprzątam więc kuchnię, myśląc często nad sensem mojego obecnego życia. Przecież zaraz muszę się położyć, bo zapewne o 23 obudzi się syn, którego będę musiała nosić na rękach czy nakarmić. Narzucam kurtkę i wsuwam nogi w buty – idę szybko wyrzucić śmieci. W dzień przy córce nie mam możliwości ich wyjąć, bo albo ona ciągnie worek po całym domu, albo zagląda do pustego, brudnego śmietnika. Zresztą gdy wychodzimy na spacer, często brakuje mi rąk, żeby wziąć jeszcze śmieci. Wychodzę na dwór. Na naszej wsi panuje całkowita cisza. Jest głucho, nie szczeka pies, nie jedzie samochód. Myślę sobie, że w ciszy odpoczywam najlepiej i że jak już się „to” skończy, będę odpoczywać, chodząc na spacer do lasu. Jak będę miała możliwość w końcu wyjść sama z domu, to nie pójdę do fryzjera czy kosmetyczki, ani na żadne zakupy, ale pójdę w ciszę.

Wracam z dworu, patrzę jeszcze na mojego psa. Jest mi go żal. Kolejny dzień bez spaceru. Jak w końcu będę mogła wyjść sama z domu, to wezmę go na długi spacer do lasu. Włócę nogami do łazienki, myję twarz i zęby, czuję się od razu lepiej. Nie mam siły wejść pod prysznic, zakładam piżamę, idę po ciemku do łóżka, obok którego stoi łóżeczko mojego syna. Nie zaglądam do niego, kładę się i od razu zasypiam. Jest 21.30.

Wyrывam się ze snu, słyszę płacz trzymiesięcznego syna. Patrzę na zegarek – punktualnie 23.00. Myślę sobie, że tym razem nie dam rady wstać, nie mam siły ruszyć nogą ani ręką. Może on zaraz zaśnie, może uspokoi się sam. W końcu jednak wstaję, bo jego płacz może obudzić córkę. Biorę go na ręce, szuka piersi. Siadam na łóżku i przykładam go do piersi. Oczy mam zamknięte, a głowę ciężko utrzymać mi w pionie. Przez chwilę je, a jego małe ciepłutkie ciało się rozluźnia. Kiedy kończy, podnoszę go pionowo i kładę na swoim ramieniu, głaszcząc go po plecach. „Najadł się, może prześpi chociaż 4 godziny” – myślę. Siedzę tak z nim i czekam, aż mu się odbije. Bardzo mocno walczę z tym, żeby nie zasnąć, oczy wciąż mam zamknięte, a kiedy próbuję je otworzyć, czuję, jak mnie szczypią, piach pod powiekami nie

pozwała mi ich unieść, muszę kilka razy pomrużyć. Małemu się odbija, a ja powolutku, delikatnie, bez gwałtownych ruchów odkładam go do łóżeczka i bardzo chcę, żeby za szybko się nie obudził. Wracam do łóżka, patrząc jeszcze smutno na puste miejsce obok mnie, na którym zwykle śpi mój mąż, nakrywam kołdrą zmarzniętą od siedzenia z synem ramiona. Przez przypadek dotykam dłonią swojego brzucha (*wieczorami, jak dzieci śpią, możesz ćwiczyć brzuszki*). Zасыpiam.

1.00. Ponownie budzi mnie płacz, tym razem brzmiący inaczej niż ten, który sygnalizuje głód. Zrywam się, podchodzę do syna, biorę go na ręce. Płacze i płacze, nie chce się uspokoić. Pręży się. Noszę go po pokoju, nie chcę z niego wychodzić, żeby nie obudził siostry. Chodzę to w jedną, to w drugą stronę, śpiewam, kołyszę w ramionach. „Śpij już, śpij” – błagam dziecko w myślach. On nie przestaje. „Dlaczego ja nie wiem, czemu on płacze?! Dobra matka na pewno by wiedziała” (*a dlaczego ona płacze? – przypomina mi się sytuacja z parku, kiedy chodziłam z kilkumiesięczną córką w wózku i zaczęła nas jakaś starsza pani, zadając to właśnie pytanie. Nie wiem – odpowiedziałam – ale może pani ją zapytać*). Wącham pieluchę – sucho. Chodzę tak jeszcze przez dwadzieścia minut, a spod opuchniętych powiek zaczynają lecieć mi łzy, które szczypią oczy jeszcze bardziej. „Nie dam rady dłużej” – myślę – „niech ktoś go ode mnie weźmie, ja chcę tylko spać, chcę się tylko w końcu wyspać. Czy to tak wiele?”. Próbuję teraz z nim usiąść i masuję mu brzuszek. Z drugiego pokoju dochodzi płacz córki. Biorę syna na ręce i idę do córki. Trzymając już spokojniejszego syna jedną ręką, schylam się na dół do jej łóżeczka i głaszczę ją po policzku, mówię: „ciii, śpij, jest nocka”. W końcu po czterdziestominutowym spacerze w środku nocy, masażu, śpiewaniu i głaskaniu, dzieci się uspokajają. Wychodzę z pokoju córki, wracam do swojej sypialni i odkładam powoli małego do jego łóżeczka. Kładę się, jest prawie 2.00 w nocy, bolą mnie plecy, ręce i ramiona od noszenia dziecka. Zасыpiam. Znowu słyszę płacz – jakby daleko, w podświadomości, czy to sen? Ciało! Obudź się – mówi mózg. Co? Dlaczego? Dopiero co zasnęłam. Udaje mi się ocknąć. Aha, 4.30, to standardowa pora, kiedy syn domaga się jedzenia. Ponownie wstaję, wyciągam go, siadam na łóżku, przykładam do piersi. Je, a ja nie otwieram oczu. Kiedy kończy, trzymam go w pionie, głaszczę po pleckach, odbija mu się, odkładam go. Jest 5.00. Wracam do łóżka, zamykam szczypiące oczy i już sama nie wiem, co sprawia mi więcej bólu – próba ich otwarcia czy ich zamknięcie. Kładę głowę na poduszce. Od jutra zacznę ćwiczyć, żeby wrócić do formy sprzed ciąży – myślę. Zdaje mi się, że zасыpiam, ale słyszę wołanie z drugiego pokoju. To córka. Jest 5.20. Idę po nią, kładę się z nią jeszcze w swoim łóżku, ale ona już skacze, chodzi po mnie, schodzi z łóżka, tylko po to, żeby znowu na nie wejść. „Nie, to niemożliwe, że ona już chce wstawać. Przecież ja znowu nic nie spałam dzisiejszej nocy, muszę spać” – myślę. Córka jednak ciągnie mnie za rękę. Synek szczęśliwie się nie budzi. Biorę córkę do łazienki, ściągam pieluchę po nocy (*bycie z dziećmi w domu to najpiękniejszy okres w moim życiu. I ja nie miałam dzieci w żłobku!*). Zaczynamy kolejny dzień. Taki sam jak wszystkie inne.

## Najtrudniejsze z trudnych – wybrane wspomnienia

Mąż nie zdążył na pierwszy poród, który zaczął się tydzień przed terminem. Była mama, która przypadkiem przyjechała do mnie na dwa dni, bo upały w kraju sięgały 39°C, a moja miejscowość była najgorętszym miastem w całej Polsce, w tym konkretnym dniu, kiedy urodziła się moja córka. Gdy odeszły mi wody, myślałam tylko: „Nie, nie, nie teraz. Nie da się tego jakoś zatrzymać? Przecież T. nie ma”. Szykując się do szpitala, myślałam tylko o tym, jak powiem mężowi, że zaczęłam rodzić. Nie w jakie słowa to ubiorę, ale w jaki sposób się z nim skontaktuję. Nie miał Internetu ani zasięgu, na szczęście zostawił mi numer awaryjny, którym dysponuje statek i na który próbowałam się dodzwonić. Całą drogę do szpitala myślałam tylko o tym, czy da się to jeszcze jakoś zatrzymać, czy może uda mi się wrócić jeszcze do domu z dzieckiem w brzuchu, a mąż zdąży dojechać. W szpitalu nie skupiałam się na wszystkich badaniach i na zadawanych mi pytaniach, ale tylko na tym, żeby w jakiś sposób skontaktować się z mężem. W końcu, jak byłam już w szpitalnej koszuli porodowej, udało mi się dodzwonić na statek. Nie odebrał mój mąż, tylko ktoś inny. Powiedziałam: „Dzień dobry, jestem żoną T., proszę mu powiedzieć, ale tak spokojnie, żeby się nie denerwował, że jestem w szpitalu i zaczęłam rodzić”. Bardzo miły pan powiedział, że zrozumiał i że przekaże. Za chwilę zadzwonił T. zapytał, czy to prawda i czy nie da się tego zatrzymać, żeby on mógł zdążyć. Odpowiedziałam, że nie, ale żeby szedł spać, bo to pewnie trochę potrwa. Jakie były moje pierwsze słowa po urodzeniu mojej córki? „O, jest, jaka ona śliczna! Zadzwoń do T., zadzwoń do T., że ma córkę”. Cały mój poród, chcąc nie chcąc, skupiony był na kimś, kogo nie ma, zamiast na tej najważniejszej i wyjątkowej osobie, która pojawiła się na świecie. Moja mama była przy porodzie, ale to nie jej potrzebowałam najbardziej tamtego dnia. Zrozumiałam to bardzo wyraźnie po drugim porodzie, przy którym był obecny mój mąż.

T. wyjechał na cztery miesiące: ja byłam w ciąży z synem, był to okres od czerwca do listopada (1 listopada wrócił, a 12 listopada urodził się nasz syn), więc czas, w którym dużo zdążyło się wydarzyć. Między innymi to, że córka zaczęła chodzić do żłobka, zaraz po tym, jak skończyła roczek (*a ona musi iść do tego żłobka? Nikt w twoim otoczeniu, środowisku nie zdecydował się na takie rozwiązanie. Ja byłam sześć lat z wami w domu! I jeszcze: Ale jak to? To obca osoba będzie się nią zajmować?*<sup>4</sup>). W domu trwał remont salonu, którego termin był tak ustalony, żeby był mój mąż. Z jego pracą jednak jest tak, że nigdy do końca nie wiadomo, kiedy wróci. Był upał, sierpień – szósty miesiąc ciąży, w domu był kurz i brud. Pan majster, który miał 100 000 pytań odnośnie do remontu i prośby, żeby jeździć z nim do oddalonego o 20 km sklepu budowlanego, znał się również na wychowywaniu dzieci. Początek

<sup>4</sup> Rich wskazuje, że istnieją pewne przekonania dotyczące tego, że „są rzeczy, które kobiety robiły od zawsze” (Rich 1986). Bycie z małymi dziećmi w domu jest jedną z nich. Skoro jest tak „od zawsze”, to próba zmiany tego modelu spotyka się co najmniej ze zdziwieniem, a nawet z jawną, społeczną dezaprobatą.

żłobka to był dla mnie i mojej córki koszmar: po powrocie z placówki mała wpadała w histerie trwające dwie godziny, do tego często dochodziły wymioty – odreagowywała to, że nie była ze swoją mamą przez cztery godziny dziennie. „Co ja mam zrobić?” – myślałam. Nie miałam z kim o tym porozmawiać, mąż był w Chinach, nie widział tego na własne oczy, miał dużo ważnej pracy. Nie miałam wsparcia ze strony rodziny w kwestii żłobka. Według nich córka powinna być ze mną w domu, a ja wiedziałam, że nie mogę zrezygnować ze żłobka, za chwilę miało urodzić się drugie dziecko, a ja mam do skończenia doktorat, który dla własnego zdrowia psychicznego muszę dokończyć (*może lepiej od razu zrezygnować?*). Za to pan, który remontował salon, znał się na wychowaniu dzieci doskonale. Miał dla mnie mnóstwo wspaniałych rad dotyczących wychowywania dzieci i postępowania z córką. Sam miał dwie, już dorosłe, to przecież wiedział. Kiedy widział, jak żywym dzieckiem jest córka, że próbuje wszędzie wejść, wszystkiego dotknąć i wszędzie zajrzeć (spokojnie, wyznaczałam granice), powtarzał, że z nią jest coś nie tak, raz zapytał mnie, „czy ona jest jakaś chora?”. Nie, czytelniku, mam zdrowe dziecko, tylko żywe, takie, którego wszędzie pełno. Ma tysiąc pomysłów na minutę i wszystkie chce zrealizować. Rzeczywiście jednak, gdy była w takim wieku, że nie rozumiała racjonalnych argumentów (*kucnij do dziecka i spokojnie wytłumacz, dlaczego nie może się tak zachowywać*), wychowywanie jej sprawiało mi trudność – szczególnie, że pod sercem nosiłam już jej brata.

T. nie było, gdy córka miała 41 stopni gorączki, gdy leciała mi przez ręce. Byłam sama i nie wiedziałam, co robić, bo byłam w takiej sytuacji po raz pierwszy. Widok dziecka, za którym zwykle nie można nadążyć, a które leży na moim ciężowym brzuchu i jedyne, co robi, to oddycha i patrzy oczami w jeden punkt, był dla mnie stresujący, byłam bezsilna. Świadomość, że w takiej sytuacji muszę liczyć sama na siebie, nie mam po kogo zadzwonić, nie mam kogo się poradzić, nie ma kto mi pomóc, sprawiła, że zmobilizowałam się do działania. Córka potrzebowała być przy mnie, to wszystko. Nie chciała ze mnie zejść, a w jakiś sposób musiałam zrobić jej okłady i podać paracetamol. Chociaż płakała, musiałam odłożyć ją na chwilę, żeby jej pomóc. Mogłam liczyć tylko na siebie. Okazało się, że to ząbkowanie i wszystkie zęby moich dzieci wyrzynały się z wielkim bólem, gorączką i infekcją. Czy kodeks pracy przewiduje trzy dni wolnego na każdy wyrzynający się ząb? Nie, więc cieszę się, że obydwoje mają już wszystkie zęby.

Pewnego razu po szczepieniu dwójka dzieci na raz dostała silnego bólu nóg i wysokiej gorączki, musiałam zadzwonić do N., która tak naprawdę była dla mnie obcą osobą. Obydwoje płakali, ja nie wiedziałam, dlaczego, obydwójce chcieli być do mnie przytuleni. N. przyjechała bardzo szybko, wzięła ode mnie jedno dziecko i tak siedziałyśmy – jedna z jednym, druga z drugim. Być może ta sytuacja sama w sobie nie była bardzo trudna, ale czułam wstyd, że muszę prosić obcą osobę o pomoc. Mimo że mogłam na nią liczyć, to było mi przykro, że jedyną osobą, która może mi w tym momencie pomóc, jest obca osoba, która dostaje ode mnie pieniądze. Miałam wrażenie, że muszę też przed nią pokazywać, że daję radę, a przecież nie starczało

mi rąk. Tak bardzo ciąży na nas presja, że musimy być supermatkami (zob. wystawa zdjęć Elżbiety Jabłońskiej pt.: „Supermatka”), że ze wszystkim musimy dawać radę same, że to wstyd prosić o pomoc. To samo czuła moja koleżanka, która zadzwoniła do nas pewnego dnia, żebyśmy przyjechali do niej, bo jej synek z zespołem Downa ma wysoką gorączkę, a ona musi jechać po drugie dziecko do przedszkola.

Dwójka moich dzieci urodziła się z taką samą wagą – 2620 g. Co do grama. Obydwoje urodzili się trochę przed terminem, córka mierzyła 51 cm, a syn 52 cm. O ile w przypadku córki taka waga urodzeniowa nie wzbudzała wątpliwości lekarzy, o tyle w przypadku syna, ze względu na jego niewielkie rozmiary, lekarze od początku mieli podejrzenie, że jest chory. Gdy odpowiadałam, że córka urodziła się z taką samą wagą, w odpowiedzi słyszałam, że dla chłopców są inne siatki centylowe, i on jest poniżej średniej chłopców urodzonych w tym okresie ciąży, wciąż doszukiwali się, że coś może być nie tak. W końcu, na jednym ze szczepień z ust lekarki padło: „On ma za małą głowę”. Walczyłam, kłóciłam się, że to nieprawda, że przecież urodził się mały, trzy tygodnie przed terminem. Odpowiedziała, że według siatek centylowych tylko 20% dzieci ma głowę w takim rozmiarze i że trzeba go zbadać. Bardzo się zdenerwowałam, a gdy wyszliśmy z gabinetu, zaczęłam płakać, bo w tamtym momencie uwierzyłam w to, co mówili do mnie lekarze. Ten dzień był bardzo smutny, myślałam, że mam chore dziecko. Myślałam, że walczyłam o to, żeby był zdrowy, udawadniałam, że jest zdrowy, wszystkim, nawet lekarzom, a teraz w końcu okaże się, że jest chory, tak jak wszyscy mi mówili, a ja do tej pory nie chciałam w to wierzyć. Zaraz przed pierwszym lockdownem udało się nam zrobić USG głowy i okazało się, że wszystko jest w porządku. Syn jest zdrowym dzieckiem, dogonił wagowo i rozmiarowo swoich rówieśników, ale wiem już, co czują matki, gdy dowiadują się, że ich dziecko jest chore. Czułam to tylko przez jeden dzień, na szczęście. One walczą, wierzą w swoje dziecko. To karygodne, żeby te kobiety musiały iść do sejmu i koczować tam, aby walczyć o godne życie dla siebie i swoich dzieci.

### Małe kroki w walce o siebie

W czasie, gdy moje dzieci były tak małe, ja po prostu jako człowiek przestałam istnieć. A tak bardzo tego nie chciałam. Stałam się „tylko matką”, chociaż w mojej głowie pojawiały się nowe pomysły badawcze, naukowe, wyjazdowe. Chciałam być sobą. „Ja” zostało uwięzione w ciele, którego moje dzieci tak bardzo wtedy potrzebowały. Potrzebowały mojego brzucha, żeby się w nim rozwinąć, piersi do wykarmienia, ramion do przytulania, sprawnego kręgosłupa do wkładania ich do wanny i na przewijak, a moja głowa była wciąż tą samą kobietą, istniejącą poza tym ciałem. Nie poddawałam się jednak, nie zapomniałam o tej kobiecie, którą byłam, zanim zostałam mamą. Próbowałam chociaż w ciągu dnia włączyć ulubioną muzykę czy posłuchać radia. Niestety, niewiele słyszałam, bo ciągle ktoś krzyczał w domu.

Wychodziłam z dziećmi na spacer – codziennie, albo dwa razy dziennie, bo była duża szansa, że spotkam kogoś znajomego. Miałam wtedy zasadę: „nie rozmawiam o dzieciach”. I zadawane mi pytanie: „jak dzieciaki?” powodowało we mnie agresję. „A co ze mną?!” – krzyczałam w myślach – „nikt się nie zapyta, a jak JA się czuję, będąc sama z dwójką tak małych dzieci?!”. Raz powiedziałam znajomej, która ma dwójkę nastoletnich dzieci, że jestem zmęczona, w odpowiedzi usłyszałam: „ja też jestem zmęczona” – i wtedy zdałam sobie sprawę, że nikt mnie nie rozumie. Nikt nie rozumie, jak wyczerpane, wycieńczone jest moje ciało, a przez to jak strasznie dosyć ma mój mózg. Do tego dochodziła świadomość własnej niezastąpioności – cokolwiek się stanie, ja muszę trwać. Ja jestem skałą sama dla siebie, nikt mnie nie przytrzyma, gdy rozboli mnie ząb, ucho, cokolwiek. Nie mam na kogo liczyć. A może nie powinno mi nic dolegać, bo przecież jest to dziecko, na którym skupia się teraz cały świat?

W ramach walki o swój własny, osobisty byt i sens istnienia pojechałam z dziećmi na weekend do rodziców. Zrobiłam to tylko po to, żeby choć na chwilę je z kimś zostawić i wyjść sama. Przebycie samotnie 120 km samochodem z dwójką dzieci i psem było stresujące, ale byłam zdeterminowana, żeby moja codzienność nabierała barw<sup>5</sup>. Gdy zajechaliśmy na miejsce, powiedziałam rodzicom, że idę gdzieś na obiad sama, a dzieci zostaną z nimi. Zgodzili się ochoczo, warunek był tylko taki, żeby syn był nakarmiony. Nakarmiłam więc go, założyłam przyciasne spodnie sprzed ciąży, wsiadłam do samochodu i pojechałam do restauracji. W drodze mogłam wreszcie posłuchać muzyki – o tak, tego właśnie potrzebowałam! Muzyki! Usłyszeć ją, wsłuchać się w nią. Spodnie trochę mnie cisnęły, co po raz kolejny wpędzało mnie w wyrzuty, że powinnam w końcu się za siebie wziąć, przecież to już trzy miesiące po porodzie! W kolorowych pismach celebrytki na tym samym etapie co ja prezentują przecież swoje brzuchy, które są płaskie jak u nastolatek. Podjechałam pod restaurację. Wiał bardzo silny wiatr. Zobaczyłam za szybą ludzi siedzących przy stolikach. „Czy ja jeszcze umiem być wśród ludzi?” – pomyślałam i weszłam do środka nieco onieśmielona. Pani kelnerka zaprosiła mnie do stolika i podała kartę. W końcu ktoś nakarmił mnie (*matka przecież nie ma potrzeb. Jej potrzebą jest szczęście dziecka*), mogłam siedzieć i dać się rozpieszczać, ale największą ochotę miałam położyć głowę na stole, zakryć ją kartą dań i zasnąć. Jednak zjedzenie pysznego posiłku, a nawet zjedzenie czegokolwiek wymagało ode mnie trzymania głowy pionowo. Zjadłam przepyszny obiad, wypiliśmy gorącą herbatę, a później jeszcze zamówiłam brownie i kawę. Wszystko działało bardzo intensywnie na moje zmysły – wszystko było jakby bardziej. Bardziej mi smakowało niż przed dziećmi, bardziej mnie cieszyło niż przed dziećmi i bardziej cieszył mnie widok dorosłych ludzi w restauracji. W końcu musiałam wracać. Kiedy wyszłam z restauracji, wiatr omal nie urwał mi głowy. Wsiadłam do samochodu, oparłam głowę o zagłówek,

<sup>5</sup> Rich, opisując swoją codzienność z trójką dzieci, napisała: „walczyłam o to, aby moje życie znalazło się w centrum uwagi” (Rich 1986: 27).



zamknęłam oczy, zaczęłam głęboko oddychać, bo tak bardzo nie chciało mi się wracać (*dzieci to sama radość*).

W trakcie tej trudnej i ciężkiej przygody, jaką są początki macierzyństwa, tylko jedna kobieta okazała mi życzliwość i zrozumienie. Niektóre z innych sądziły, że dają mi wsparcie, mówiąc, że to najcudowniejszy okres w życiu, że to takie piękne uczucie być mamą i że co z tego, że jestem zmęczona. Przecież jestem dorosła, a to są tylko dzieci, wobec których muszę być cierpliwa, pogodna, życzliwa, opiekuńcza i wciąż uśmiechnięta (*przecież jesteś ich mamą, oni mają tylko ciebie*). Nie były to jednak słowa, których w tamtym okresie potrzebowałam. Mamy znajomych, a teraz mogę chyba powiedzieć już, że przyjaciół, u których mogłam znaleźć schronienie w trudnych chwilach. Raz na jakiś czas mogłam wpaść do nich z dziećmi, a właściwie to do niej, bo nasi mężowie pracowali na jednym statku, więc zawsze byliśmy same na lądzie w tym samym czasie. A. z wykształcenia i powołania jest pedagogiem, aktywnym zawodowo, ma pełnoletniego syna, ale pamięta, co to znaczy żywot matki małego dziecka. Jako jedyna nie prawiała mi kazań dotyczących sadzania na nocnik, smoczką, ubierania, nauki chodzenia i wielu innych rzeczy, które „powinam”, tylko mówiła: „wiem, co przeżywasz, pierwsze trzy lata życia mojego dziecka to był koszmar: brak snu, ciągle z tym dzieckiem”. Nie bała się tego powiedzieć głośno. Do tej pory nie wiem: albo nie dla wszystkich kobiet to jest aż tak trudne, jak było dla mnie, albo nasza samotność jest większa z powodu specyfiki pracy naszych mężów, których nie ma chociaż wieczorem przy kąpeli i rano przy śniadaniu. Mogą chociaż zrobić zakupy, wynieść śmieci, zapłacić rachunki. W każdym razie w moim środowisku tylko A. mówiła o tym, że macierzyństwo oprócz tego, że jest piękne, bywa też męczące, uciążliwe, trudne. Przyjechałam do niej któregoś ranka (*dziecko musi mieć stały rytm dnia*), bo dzieci o 11 szły już na drzemkę. To znaczy syn zasypiał, a córka przez dwadzieścia minut płakała, żeby zasnąć na czterdzieści minut. Wydobycie się z domu było tego dnia z jakichś przyczyn dla mnie trudne: raz jedno zrobiło kupę, raz drugie, później znowu to pierwsze zrobiło kolejną, ciągle płakali, z trudem się umyłam, ale zjeść już nie zdążyłam. Całą drogę, trwającą dwadzieścia minut jazdy, obydwójce płakali, a raczej darli się. Pękała mi głowa, bo noc jak wszystkie poprzednie była nieprzespana, w brzuchu burczało z głodu. Kiedy dojechałam na miejsce, była może 9 rano, a ja już miałam dosyć dnia. Wysiadłam z samochodu i się rozpłakałam. A. zapytała, czy coś jadłam. Powiedziałam, że nie, że poranek był bardzo trudny. „To co ci zrobić?” – zapytała – „jajko na bekonie? Jajeczniczkę?”. To jajko na bekonie i ciepła herbata to był najpiękniejszy gest i najlepsze śniadanie, jakie jadłam w życiu. Kobiety-matki! Wspierajmy się w taki sposób! Ciepłą herbatą, dobrym słowem: „świetnie sobie radzisz”, nawet jeśli widzimy, że inna kobieta-matka robi coś inaczej, niż my byśmy to zrobiły, inaczej ubiera, inaczej uspokaja, inaczej rozmawia z dzieckiem. To nie znaczy, że robi to źle. Przestańmy się nawzajem umoralniać, podpowiadać, oceniać. Wszystkie się staramy, wszystkie jesteśmy wystarczająco dobre. A to śniadanie oznaczało dla mnie, że ja też jestem ważna. Że muszę o sobie zadbać, że takie małe rzeczy sprawiają, że będę lepsza dla siebie, a co za tym idzie – dla dzieci.

Kiedy już mogłam na trochę dłużej wyjść z domu, bo przerwy między karmieniami się wydłużyły, a syn zaczął jeść więcej normalnego jedzenia, spotkałam się z koleżankami ze studiów, które nie mają dzieci. Jedna z nich zaczęła opowiadać, że w czasie lockdownu bardzo dbała o swoje włosy: codziennie nakładała maski odżywcze i robiła jakieś inne cuda, że jej włosy zgęstniały i lśniły. W tamtym momencie uświadomiłam sobie, że ja też miałam kiedyś włosy. A może nadal je mam? Wprawdzie myłam je regularnie co drugi dzień, ale nie przyglądałam się im, w ogóle rzadko patrzyłam w lustro. Czy ja jestem jeszcze zadbana? Czy ktoś obcy, patrząc na mnie, od razu wie, że jestem matką? Gdy wróciłam do domu z tego spotkania, spojrzałam w lustro. Zobaczyłam pierwsze zmarszczki, podkrążone oczy, rzadkie po ciężkich włosy i zmienioną sylwetkę. „Dobrze, że nie mam czasu się tym przejmować” – pomyślałam.

### Nadzieja

Siedzę przy kuchennym stole w dresie, bez makijażu, z włosami spiętymi w niedbały kok. Niby karmię dzieci obiadem czy śniadaniem, ale myślę o tym tekście, o tym, że jeśli nauka chce znać prawdę o macierzyństwie, to musi wziąć pod uwagę pojedynczy, autoetnograficzny głos zwykłej matki, która żyje w tej konkretnej kulturze, w tym konkretnym społeczeństwie. Zwykłej, szczerzej, zmęczonej, kochającej matki – takiej, jak wiele innych. A być może takiej jak większość matek, które nie cieszą się zainteresowaniem badaczy.

„Jeście zielone glamy!!!!!!” – krzyczy córka i wyrывa mnie z zamyślenia. No tak: „Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy, jeszcze któregoś rana odbijemy się od ściany...”. Dziękuję, córeczko. W końcu uda mi się skończyć ten tekst. I cały doktorat. Jeszcze gram.

### Rozwiązania

Nie wiem, czy udało mi się oddać ciężar sytuacji, których doświadczyłam w swoim macierzyństwie. Wiem jednocześnie, że są kobiety, które obiektywnie mają dużo gorzej, bo na przykład nie śpią przez całe lata, mają dzieci niepełnosprawne, przy których muszą czuwać 24 godziny na dobę. Zdaję sobie sprawę z tego, że moje macierzyństwo nie jest tym najtrudniejszym, i matki, które przeżyły prawdziwe dramaty, śmieją się teraz ze mnie pod nosem. Dlatego też tym tekstem chcę dopiero rozpocząć debatę nad potrzebą wprowadzenia pomocy psychologicznej dla wszystkich świeżo upieczonych mam. Uważam, że instytucja położnej, która przychodzi do domu nowonarodzonego dziecka, nie odpowiada na potrzeby kobiet. Nie jest ona zainteresowana matką, interesuje się dzieckiem – czy nie jest odwodnione, zaniedbane, czy ma ciepłe rączki i nóżki, czy waży odpowiednio dużo. Położna,

która była u nas po narodzeniu mojego drugiego dziecka, zapytała: „Macie jakieś problemy?” i udzieliła sama sobie odpowiedzi: „A nie, wy nie możecie mieć żadnych problemów”.

O konieczności wprowadzenia etatu dla psychoterapeutów i psychologów do poradni położniczo-ginekologicznych oraz na oddziały położnicze, a także stworzeniu domowej pomocy psychologicznej w pierwszym okresie macierzyństwa pisano już w 1998 roku (Kościelska). Uważam jednak, że organizacja pomocy psychologicznej dla młodych mam nie powinna polegać na tym, że kobieta samodzielnie zgłasza się do poradni, bo proszenie o pomoc to wciąż dla młodych mam powód do wstydu i większość z nich, nawet jeśli czuje, że sobie nie radzi, po prostu nie zgłosi się sama. Położna powinna przychodzić do domu kobiety wraz z psychologiem lub psycholożką. Położna zajmowałaby się stanem zdrowia dziecka, tak jak to ma miejsce do tej pory, a psycholog lub psycholożka stanem zdrowia psychicznego matki. Wystarczy krótka rozmowa przeprowadzona na osobności przez specjalistę, zadanie odpowiednich pytań. Ona zajmuje się dzieckiem – waży je i mierzy, a on kobietą. Psycholog pytałby, rozmawiał, nie trzymał przed sobą formularza z rubrykami do wypełnienia. Jest w taki sposób wyedukowany, aby dać kobiecie rzeczywiste zainteresowanie i wsparcie, pomoc w znalezieniu rozwiązań jej osobistych problemów. I taka wizyta powinna odbyć się co najmniej, tak jak w przypadku wizyty położnej, trzy razy w przeciągu pierwszych trzech–pięciu miesięcy.

Zwracam się teraz do świata nauki: nie tylko matki z problemami oczywistymi, przebadanymi potrzebując pomocy. Zajmowanie się tymi zagadnieniami jest łatwe. Ale jak zbadać skalę trudów każdego macierzyństwa? Nie tylko dziecka chorego, nie tylko matki ubogiej, niepełnoletniej. Samotność, brak wiary we własne kompetencje, brak snu, brak pomocy – to są problemy matki każdego noworodka. W zależności od umiejętności matka poradzi sobie w taki czy inny sposób, ale jakoś sobie poradzi. Tylko to „jakoś” ma wpływ na dziecko, o które tak bardzo troszczymy się w naszym społeczeństwie.

Dziadkowie i inni bliscy – wasz czas z wnukami nie jest tak istotny jak pomoc ich mamie. Jeśli chcecie pomóc – jedno z was bierze dziecko na spacer, a drugie pyta się matki: „co mogę dla ciebie zrobić?”. Matka zapewne odpowie, że nic, bo przecież jest supermatką, sama da sobie radę ze wszystkim. Ale to pozory, które musi utrzymywać, aby odnajdować swoje miejsce w kulturze, w której żyjemy. Dlatego jedno z was bierze dziecko na spacer, a drugie gotuje obiad/odkurza/zmywa/wynosi śmieci – w zależności od potrzeb. A matka w tym czasie śpi/słucha muzyki/bierze kąpiel/czyta książkę/pisze artykuł/dzwoni do koleżanki – w zależności od potrzeb i nie ma z tego powodu wyrzutów, stereotypy odkłada na bok. To matka jest w macierzyństwie najważniejsza. To ona jest centrum.

## Literatura

- Adams T.E., Manning J., 2015, *Autoethnography and family research*, „Journal of Family Theory & Review” no. 7.
- Beauvoir S. de, 2020, *Druga płeć*, tłum. G. Mycielska, M. Leśniewska, Warszawa: Wydawnictwo Czarna Owca.
- Budrowska B., 2000, *Macierzyństwo jako punkt zwrotny w życiu kobiety*, Wrocław: Funna.
- Celińska-Miszczuk A., Wiśniewska L.A. (red.), 2017, *Macierzyństwo. Szanse i ograniczenia. Perspektywa psychologii osoby*, Warszawa: Difin.
- Faulkner S.L., 2012, *That baby will cost you. An intended ambivalent pregnancy*, „Qualitative Inquiry” no. 18.
- Faulkner S.L., 2014, *Bad mom(my) litany. Spanking cultural myths of middle-class motherhood*, „Cultural Studies ↔ Critical Methodologies” no. 14.
- Ferdinand R., 2022, *An autoethnography of African American motherhood. Things I tell my daughter*, New York: Routledge.
- Goffman E., 2010, *Analiza ramowa. Esej z organizacji doświadczenia*, tłum. S. Burdziej, Kraków: Nomos.
- Haugh B., 2016, *Becoming a mother and learning to breastfeed. An emergent autoethnography*, „The Journal of Perinatal Education” no. 25.
- Kafar M., Kacperczyk A., 2020, *Autoetnograficzne „zbliżenia” i „oddalenia”. O wędrującym pojęciu „autoetnografia” [w:] Autoetnograficzne „zbliżenia” i „oddalenia”. O autoetnografii w Polsce*, red. M. Kafar, A. Kacperczyk, Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego.
- Kościelska M., 1998, *Trudne macierzyństwo*, Warszawa: Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne.
- Maciarz A., 2004, *Macierzyństwo w kontekście zmian społecznych*, Warszawa: Wydawnictwo Akademickie Żak.
- Pineau E., 2000, *Nursing mother and articulating absence*, „Text and Performance Quarterly” no. 20.
- Pineau E., 2013, *The kindness of (medical) strangers. An ethnopoetic account of embodiment, empathy, and engagement [w:] Writings of healing and resistance empathy and the imagination-intellect*, ed. M.E. Weems, New York, NY: Peter Lang.
- Pryszmont M., 2020, *Metodologia jako sztuka wyjścia. Podejścia badawcze i praktyki edukacyjne w andragogicznych studiach nad macierzyństwem*, Wrocław: Oficyna Wydawnicza Atut.
- Rich A., 1986, *Of woman born. Motherhood as experience and institution*, New York, London: W.W. Norton & Company.
- Wystawa Elżbiety Jabłońskiej „Supermatka”, Elżbieta Jabłońska, <http://www.elajablonska.com/projekt-35-supermatka> [dostęp: 28.07.2021].

## Streszczenie

Artykuł jest autoetnograficznym badaniem społeczno-kulturowej perspektywy ponowoczesnego macierzyństwa. Macierzyństwa, jakich wiele: uwikłanego w stereotypy, osądy i przekazy medialne oraz rady, dostępne od ręki w każdej telewizji, w radiu, na forach dla rodziców. Za pomocą przyjętej metody kierują się w stronę indywidualnego i subiektywnego

doświadczenia życiowego kobiety, które zdaje się wymykać jakimkolwiek ustaleniom naukowym. Aby ukazać środowisko, w którym się wychowałam, i kulturę, w której funkcjonuję jako matka, przeanalizowałam najtrudniejsze dla mnie doświadczenia, z początków macierzyństwa. Treści odnoszące się do perspektywy społeczno-kulturowej zapisane są w tekście *kursywą*. Sytuacje opisane w artykule nie dają powodów do tego, żeby definiować moje macierzyństwo jako trudne, ale przedstawiają codzienność wielu innych, zwykłych, kochających, zmęczonych, wątpiących w siebie matek. A każda z nich zasługuje na pomoc ze strony systemu, zasugerowaną w ostatniej części artykułu.

### Słowa kluczowe

autoetnografia, macierzyństwo, kultura, społeczeństwo

### Summary

#### *An authoethnography of the difficulties of motherhood*

The article is an autoethnographic study of the socio-cultural perspective of postmodern motherhood. A motherhood like there are many: entangled in stereotypes, judgments, media advice broadcast by television, radio, or published on parenting forum boards. By applying the adopted method, I am heading towards the individual and subjective life experience of a woman, which seems to elude any scientific findings. In order to present the environment in which I was brought up and the culture in which I function as a mother, I analyzed the most difficult experiences at the beginning of motherhood. Content related to the socio-cultural perspective is provided in italics in the text. The difficult situations described in the article do not give reasons to define my motherhood as difficult, but they present the everyday life of many ordinary, loving, tired and self-doubting mothers. And each of them deserves the help of the system, as suggested in the last part of the article.

### Keywords

autoethnography, motherhood, culture, society